

# Opuszczony okręt



GUY DE MAUPASSANT

## Opuszczony okręt

TEŁUM. ANONIMOWY

Było to wczoraj, 31-go grudnia.

Spożywałem właśnie śniadanie z moim starym przyjacielem, Jerzym Garin. Służący mój przyniósł mu list, którego koperta pokrytą była obcemi markami i pieczęciami.

Jerzy zapytał mnie:

— Czy pozwolisz?

— Bardzo cię proszę.

Zabrał się do czytania ośmiu stron zapisanych pismem angielskiem pokoślawionem w różne strony. Czytał powoli z głęboką uwagą, z zainteresowaniem, jakie wkłada się w rzeczy serdecznie nas obchodzące.

Potem położył list na rogu kominka i rzekł:

— Proszę cię, oto dziwne zdarzenie, o którym nigdy ci nie opowiadałem, historia trochę sentymentalna, a która mnie się istotnie zdarzyła. — Och! dziwny byłto ów dzień nowego roku, owego nowego roku! Jest temu lat dwadzieścia.... miałem wówczas trzydzieści lat a teraz mam ich pięćdziesiąt.

Byłem inspektorem morskiego towarzystwa asekuracyjnego, które obecnie prowadzi. Zamierzałem spędzić w Paryżu dzień 1-go stycznia jak to jest w zwyczaju, dzień ten uważać za uroczyste święto, kiedy otrzymałem list od dyrektora polecający mi udać się bezzwłocznie na wyspę Ré, gdzie właśnie rozbił się jeden trójmasztowiec ze Saint-Nazaire, asekurowany u nas. Była wtedy ósma godzina rano. Udałem się koło godziny dziesiątej, żeby odebrać instrukcję i tego samego wieczora wsiałem na express, który na drugi dzień wysadził mię w La Rochelle, w dzień 31-go grudnia.

Miałem przed sobą dwie godziny do odejścia łodzi na wyspę Ré. Udałem się na spacer po mieście. Dziwne jest zaprawdę i o wielkim charakterze to miasto La Rochelle, ze swojemi krętymi ulicami jak labirynt, o chodnikach biegnących pod galeryami bez końca, galeryami o arkadach podobnych jak na ulicy Rivoli, tylko niskich, te przytłumione tajemnicze galerye i arkady, które zdają się być sporządzone i pozostałe jakby ozdoba dawnych spiskowców, starożytna i porywająca ozdoba dawnych wojen, tych dzikich, a bohaterskich wojen religijnych.

Jestto stara siedziba hugenocka, poważna, ponura, bez przepychu, nie posiadająca żadnego z tych wspaniałych pomników, które czynią Rouen tak wspaniałem, a zwracającem uwagę swoją surową fizyognomią, miasto zaciekłych wojowników, gdzie rodziły się różne fanatyzmy, miasto gdzie wybujała wiara kalwinistów i gdzie urodził się spisek czterech sierżantów.

Po niedługim błędzeniu po tych szczególnych ulicach wsiałem na małą łódź motorową, czarną i brzuchatą, która miała mnie zawieźć na wyspę Ré. Płynęła ona, dysząc gniewnie, przeszła pomiędzy dwoma starożytnemi wieżami na wstępie do portu, przekroczyła przystań i wypłynęła z tamy zbudowanej jeszcze przez Richelieu, z której widzieć można głęboko w wodzie olbrzymie kamienie zamykające miasto jakby jakimś naszyjnikiem. Następnie skreśliła łódź na prawo.

Byłto jeden z tych smutnych, przygniatających dni, tłumiących myśl, gniotących serce, gaszących w nas wszelką siłę i energię; byłto dzień szary, mroźny, zanieczyszczony ciężką mgłą, wilgotną jak deszcz, zimną jak mróz, wstrętą do oddechu jak bagniste wyziewy.

Pod tem nakryciem niskiej i złowrogiej mgły, żółte, płytkie i piaszczyste morze tych brzegów bez końca, było gładkie, bez zmarszczki, bez ruchu, bez życia, było morzem wody gęstej, stojącej i mętnej.

Jean-Guiton płynęła po wierzchu, zataczając się nieco z przyzwyczajenia, przecinając tę nieprzeźroczystą i śliską przestrzeń, pozostawiając za sobą kilka fal, nieco szumu, kilka bałwanów, które nikły po chwili.

Rozpocząłem rozmowę z kapitanem, małym człowiekiem, okrągłym jak jego łódź i podobnie się kołyszącym. Chciałem się dowiedzieć od niego o paru szczegółach wypadku, który miałem sprawdzać.

Wielki trójmasztowiec Marie-Joseph idący ze Saint-Nazaire, uległ rozbiciu na piaskach wyspy Ré jednej nocy wskutek huraganu.

Burza rzuciła go tak daleko, że było niemożliwym go wyciągnąć i trzeba było coprędzej unieść z niego to, co zabrać jeszcze się dało. Rzeczą moją było zatem skonstatować położenie opuszczonego okrętu, ocenić jaki musiał być jego stan przed rozbiciem, osądzić czy wyzyskane zostały wszystkie usiłowania, ażeby go jeszcze sprowadzić na wodę. W danym razie miałem służyć towarzystwu za świadka w ewentualnym procesie. Stosownie do mojego sprawozdania dyrektor miał powziąć odpowiednie postanowienia, co do obrony naszych interesów.

Kapitan Jean Guiton, — znał doskonale wypadek, wezwany był bowiem także ze swoją łodzią do przedsięwzięcia usiłowań wyratowania statku.

Opowiedział mi ten wypadek, zresztą bardzo zwyczajny. — Statek pędzony wściekłym wiatrem, zgubiwszy kierunek w nocy, płynąc na los szczęścia po wzburzonym morzu, rozbił się na tych niezmiernych ławicach piaskowych, które ciągną się w tych stronach, jak bezbrzeżna Sahara, o małym stanie wody.

Rozmawiając, rozglądałem się przed i naokoło siebie. Pomiedzy niebem a oceanem biegła przestrzeń widzialna daleko. Zbliżaliśmy się do jakiejś ziemi. Zapytałem kapitana:

— Czy to jest wyspa Ré?

— Tak, proszę pana.

Nagle kapitan wskazał mi wyciągniętą dłońią zaledwie widzialną jakąś rzecz na pełnym morzu i rzekł:

— Patrz pan, oto pański okręt.

Marie-Joseph?

— Ależ, tak.

Byłem zdumiony. — Ten czarny punkt zaledwie widzialny, który byłbym wziął za kawałek rafy, zdawał mi się odległy najmniej o trzy kilometry od brzegu.

Zagadnąłem:

— Ależ kapitanie, w miejscu które mi wskazujesz musi być ze sto sążni wody?

On począł się śmiać:

— Sto sążni, mój przyjacielu? Ani dwa sążnie, zapewniam pana. My mamy teraz pod sobą, głębokie morze, dziewięć godzin, czterdzieści minut. Może pan iść plażą, ręce w kieszeni, po śniadaniu w hotelu Delfin i zapewniam pana, że za dwie godziny i pół, a za trzy godziny najwyżej, dojdiesz pan do opuszczonego okrętu, suchą nogą, mój przyjacielu i będziesz miał godzinę czterdzieści pięć, — do dwóch godzin zostać tam, ani trochę więcej — inaczej będziesz wzięty. Im prędzej morze się cofa, tem szybciej powraca. Płaskie jest to wybrzeże jak pluskwa. Zabierz się pan w drogę o czwartej pięćdziesiąt, a na siódmą godzinę i pół, wrócisz na pokład Jean-Guiton i jeszcze tego samego wieczoru wysadzi on cię na wybrzeże La Rochelle.

Podziękowałem kapitanowi i udałem się na przód łodzi i spoglądałem na małe miasteczko Saint-Martin, ku któremu szybko zbliżaliśmy się. Podobne ono było do tych wszystkich miniaturowych portów, które są stolicami wysepek rozsianych wzdłuż stałego lądu. Był to właściwie wielka wieś rybacka, jedną nogą w morzu a drugą na lądzie, żyjąca rybami i ptactwem, jarzyną i ostrygami, rzodkiewką i ślimakami. Sama wyspa jest niską, mało uprawną, zdawała się atoli być bardzo zaludnioną. Nie zapuściłem się jednak w głąb wyspy.

Po śniadaniu przeszedłem mały przylądek, a że morze opadało gwałtownie szedłem przez piaski w kierunku owej czarnej skały, którą widziałem ponad wodą, tam daleko.

Szedłem prędko po tej żółtej płaszczynie, elastycznej jak ciało, które zdawało się pocić pod moimi nogami. Morze przed chwilą było tu jeszcze, teraz widziałem je daleko uciekające w mgnieniu oka, tak że nie rozróżniałem więcej linii dzielącej piasek od oceanu. Zdawało mi się jak gdybym był obecny przy jakimś zjawisku czarodziejskim i gigantycznym. Atlantyk był przedemną jeszcze przed chwilą i znikł potem na piaszczystej płaszczynie, a ja szedłem teraz pustynią. Jedynie wrażenia, oddechu słonej wody pozostały naokoło mnie.

Czułem ostry zapach trawy morskiej, zapach fali i łagodny zapach brzegów. Szedłem szybko nie czując już zimna, spoglądałem na opuszczony okręt, który powiększał się w miarę jak się zbliżałem i podobny był teraz do olbrzymiego wieloryba.

Zdawał się wyrastać z ziemi i przybierał wśród tej ogromnej, płaskiej i żółtej przestrzeni nadnaturalną proporcję. Po godzinie drogi doszedłem do niego. Statek leżał na boku, połamany, nieżywy, pokazując tak jak boki bydłęcia swoje potrzaskane kości, swoje kości drewniane, pociągnięte smołą, przebite ogromnymi gwoździami. Piasek już go objął w swoje posiadanie, wszedł we wszystkie jego szczeliny, objął go i trzymał i nie wypuszczał więcej. Zdawało się, że wrósł już w niego. Przód okrętu zarył się głęboko w tej łagodnej a zdradliwej plaży, podczas gdy tył, wzniesiony do góry zdawał się rzucać w stronę nieba, jak krzyk przeraźliwej rozpaczycy te dwa białe słowa na czarnym oblamowaniu: Marie-Joseph.

Wydrapałem się ze strony najniższej na tego trupa okrętu, smutnym blaskiem oświetlał te, pewnego rodzaju długie i ciemne piwnice, pełne teraz szczątków wszelakiego drzewa.

Wewnątrz nic już nie było więcej prócz piasku.

Począłem robić notatki co do stanu okrętu. Usiadłem na połamanej i pustej beczce i pisałem w świetle szerokiej szczeliny, przez którą mogłem spoglądać na bezbrzeżną płaszczynę wybrzeża. Od czasu do czasu dziwny dreszcz zimna i samotności przebiegł po mojej skórze. Przystawałem czasami pisać i wsłuchiwałem się w tajemniczą i niespokojną mowę opuszczonego okrętu: W szelest krabów wgrzyżających się wąsatymi mackami w bordiurę okrętu, w szelest tysiąca tych wszystkich małych stworzeń morskich, biorących już w posiadanie tego trupa, w łagodny i regularny szelest skorka, który jak świderk bezustannie toczy drzewo, w szelest pracy tajemnej tych wszystkich cieśli, którzy drążą i pożerają.

Nagle tuż obok siebie posłyszałem jakieś głosy ludzkie. Skoczyłem na nogi, jak wobec jakiegoś zjawiska. Zaprawdę sądziłem przez chwilę, że z głębi dna okrętu zjawia mi się topielce pragnące mi opowiedzieć śmierć swoją. Niedługiego wtedy potrzebowałem zaiste czasu do wydrapania się na pomost siłą moich pięści. Spostrzegłem stojącego na przodzie okrętu jakiegoś grubego mężczyznę z trzema młodemi dziewczętami, a raczej jednego wielkiego Anglika z trzema *misses*.

Zapewne oni jeszcze bardziej przestraszyli się widząc zjawiającą się nagle istotę na tym opuszczonym trójmasztowcu. Najmłodsza z panienek uciekła, dwie drugie chwyciły się ojca obiema rękami, on zaś otworzył usta, co było jedynym znakiem po którym można było poznać jego wzruszenie.

Wreszcie po kilku sekundach przemówił:

— Eh! Panie, jesteś właścicielem tego okrętu?

— Tak panie.

— A czy mogę go zwiedzić?

— Tak panie.

Wypowiedział wtedy długie zdanie po angielsku, w którym odróżniłem tylko słowo *gracions* powtórzone kilka razy.

Widząc, że próbuje się wydrapać na pomost pokazałem mu najlepsze miejsce i podałem rękę. Wyszedł, poczem obaj pomagaliśmy trzem pannom już uspokojonym. Wszystkie trzy były bardzo miłe, szczególnie najstarsza, blondynka lat ośmnastu, świeża jak kwiat i tak cieniutka, tak delikatna! W istocie piękne angielski mają wygląd łagodnych zamorskich owoców. Rzekłbyś że ta wyłoniła się z piasku i że włosy jej zachowały jeszcze jego odcień. Ich wspaniała świeżość, naprowadza na myśl te różowe muszle o delikatnych kolorach i te perły blado opalone, rzadkie, tajemnicze, poczęte w głębokościach nieznanych oceanów.

Ona mówiła nieco lepiej jak jej ojciec i służyła nam za tłumacza. Musiałem opowiedzieć im o rozbiciu, z najmniejszymi szczegółami, które wymyślałem, tak jakbym sam był obecnym przy tej katastrofie. Następnie cała familia weszła do wnętrza. Skoro tylko dostali się do tej ciemnej galeryi, zaledwie oświetlonej, nie mogli powstrzymać się od okrzyków podziwu i zachwyty. Nagle ojciec i trzy córki trzymali już w rękach albumy ukryte zapewne w ich wielkich nieprzemakalnych ubraniach i równocześnie zaczęły cztery szkice tego smutnego, a dziwnego miejsca. Usiedli obok siebie na brudnej belce i cztery albumy na ośmiu kolanach pokrywały się małymi czarnymi kreskami mającymi przedstawiać na wpół otwarte wnętrze Marie-Joseph.

Podczas tej pracy najstarsza z panien rozmawiała ze mną, ja zaś w dalszym ciągu sprawdzałem szkielec okrętu.

Dowiedziałem się, że zimę spędzili w Biarritz i że umyślnie przybyli na wyspę Ré, ażeby zobaczyć ten ugrząźnięty trójmasztowiec. Nie miały w sobie nic z tej pychy angielskiej, były skromne, nie wymuszone, jedne z tych wiecznych podróżniczek, które Anglia zasypuje świat cały. Ojciec, długi, suchy, o twarzy czerwonej, otoczonej białymi faworytami, prawdziwy żyjący Sandwich, kawałek szynki przyciętej na kształt głowy ludzkiej, pomiędzy dwoma materacykami sierści; córki, na wysokich nogach jak na szcudłach, suche także, z wyjątkiem najstarszej, miłe wszystkie trzy, a najbardziej największa. Miała tak dziwny sposób mówienia, śmiania się, opowiadania, rozumienia i nierozumienia, podnoszenia pytająco oczów błękitnych jak głęboka woda, przestawania rysować, ażeby odgadywać, zabierania się z powrotem do pracy, mówienia *yes* albo *no*, że byłbym nie wiem jak długo pozostawał, ażebym mógł ją słyszeć i na nią patrzeć.

Nagle ona wyszeptała:

— Czuję jakiś mały ruch na tym okręcie.

Wyteżyłem słuch i rozróżniłem natychmiast lekki, niezwyčajny a bezustanny szum. Cóżby to było? Podniosłem się, spojrzałem przez szczelinę i gwałtownie krzyknąłem. — Morze nas dosięgło i otaczało nas.

W jednej chwili znaleźliśmy się na pokładzie. Było już zapóźno! Woda nas oblewała i biegła ku brzegom z nadzwyczajną szybkością. Nie, to nie biegło, to się czołgało, ślizgało, rozciągało, jak bezbrzeżna plama. Zaledwie kilka centymetrów wody nakrywało piasek, ale już niewidzialną była mknąca linia niedostrzegalnej fali.

Anglik chciał się rzucić naprzód, lecz go powstrzymałem. Ucieczka była niemożliwą z powodu głębokich kałuż, a które w powrocie musielibyśmy napotkać, ryzykując wpadnięcie.

Straszną była ta chwila, owej krótkiej obawy. Potem mała angielfka poczęła się śmiać i zawołała:

— Oto teraz my jesteśmy rozbitkami!

Chciałem się śmiać, ale strach ścisnął mi gardło, ów wstrętny, niski strach, zdradliwy jak owa fala. Wszelkie możliwe niebezpieczeństwa jakie nam groziły, przyszły mi na myśl równocześnie. Miałem chęć wołać: Na pomoc! Do kogo?

Dwie małe angielfki przytuliły się do ojca, który przerażonym wzrokiem spoglądał na nieskończone morze naokoło nas.

Noc zapadała tak szybko jak wzbierający ocean, noc ciężka, wilgotna i mroźna....

Odezwałem się:

— Nie mamy nic innego do zrobienia jak pozostać na tym statku.

Anglik odpowiedział:

— Och! *Yes!*

I staliśmy tam kwadrans, pół godziny, sam nie wiem jak długo i spoglądaliśmy na tę żółtą wodę, która roztaczała się naokoło nas, kłębiła, zdawała gotować się, zdawała cieszyć się z odzyskania tego niezmiernego wybrzeża.

Jedna z panien poczęła się skarżyć na zimno i przyszła nam myśl zejścia napowrót w głąb okrętu, ażeby się schronić przed lekkim lecz mroźnym wiatrem, który przejmował nas do kości.

Nachyliłem się ponad zejściem. Okręt był pełen wody. Musieliśmy zatem wtulić się za burtę tylną, która nas zabezpieczała nieco od wiatru.

Otaczały nas teraz ciemności, myśmy zaś siedzieli przyciśnięci jedni do drugich, objęci cieniem i wodą. Poczulem, że obok mojego ramienia drży ramię młodej angielfki i że zęby

jej dzwonią od czasu do czasu. Czułem jednak równocześnie miłe ciepło jej ciała poprzez ubranie, a ciepło to było dla mnie rozkosznym jak pocałunek. Nie rozmawialiśmy wcale. Pozostawaliśmy nieruchomi, niemi, skuleni jak zwierzęta w rowie w czasie huraganu. A przecież mimo wszystko, mimo nocy, mimo strasznego i rosnącego niebezpieczeństwa, poczynałem się czuć szczęśliwym tam, szczęśliwy tem zimnem i niebezpieczeństwem, szczęśliwy temi długimi godzinami nocy i niepokoju, spędzanymi na tej belce tak blisko tej pięknej i delikatnej dziewczyny.

Sam siebie zapytywałem skąd pochodziło to dziwne wrażenie zadowolenia i przejmującej mnie radości.

Dlaczego? Czyż można wiedzieć? Dlatego że była tam ona? Co za ona? Mała nieznamiona angelka? Nie kochałem jej, nie znałem jej wcale, a czułem się wzruszonym, porwanym! Chciałbym ją ocalić, poświęcić się dla niej, tysiąc szaleństw popełnić! — Dziwna rzecz! Skąd to pochodzi że obecność jednej kobiety wzrusza nas w ten sposób! Czy to potęga jej wdzięku nas ogarnia? Czy urok piękności i młodości upaja nas jak wino? Czy to raczej nie jest pewnego rodzaju czucie miłości, tajemniczej miłości, która stara się bezustannie łączyć stworzenia, która próbuje swojej potęgi, skoro tylko kobieta stanie przed mężczyzną, która napawa ich wzruszeniem, wzruszeniem niejasnym, głębokim i sekretnym, tak jak zrasza się ziemię ażeby rosły na niej kwiaty.

Tymczasem milczenie ciemności stawało się przerażające. Dookoła nas słyszeliśmy niespokojny, bezustanny, lekki szum, głuchy ruch morza wznoszącego się i monotonne chlupotanie przyplwy o boki okrętu.

Nagle posłyszałem łkanie. Najmniejsza z Angielek płakała. Jej ojciec chciał ją pocieszyć i poczęli rozmawiać w swoim języku, którego nie rozumiałem.

Odgadywałem że stara się ją uspokoić i że ona ciągle się boi.

Zapytałem mojej sąsiadki:

— Czy pani nie zimno?

— Oh! tak, bardzo mi zimno.

Chciałem dać jej mój płaszcz, lecz ona odmówiła, zdjąłem go jednak i okryłem ją nim, wbrew jej woli. W tej krótkiej walce spotkałem jej rękę co wywołało u mnie rozkoszne drżenie po całym ciele.

Od kilku minut, wiatr stał się gwałtowniejszym, a uderzanie wody o boki okrętu silniejsze. Podniosłem się; silny powiew przebiegł mi po twarzy. Wiatr się wzmagał!

Anglik, spostrzegł to równocześnie ze mną i rzekł prostodusznie:

— Jestto niedobrze dla nas, to....

Istotnie położenie nasze było krytyczne. Groziła nam pewna śmierć jeśliby fale, nawet słabe fale, poczęły atakować i wstrząsać okrętem już i tak rozbitym i rozpadającym się. Pierwsza silniejsza fala mogła go potrząsnąć na miazgę.

Obawa nasza wzrastała też co chwilę razem ze wzmagającą się siłą wiatru. Teraz już morze wzburzało się trochę i widziałem w ciemnościach białe linie piany, które to się zjawiały, to nikły, każdy przyplwy wiatru zaś wstrząsał szkieletem Marie-Joseph, wywoływał krótkie drżenie całego okrętu, odczuwane przez nas ze ściśnięciem serca.

Angelka drżała, czułem jak się trzęsła obok mnie, mnie zaś porywała szalona chęć chwycenia ją w swoje ramiona.

Tam, daleko, przed nami, na lewo, na prawo, z tyłu za nami błyszczały latarnie na brzegach o kolorach białych, żółtych, czerwonych, zmieniających się, podobne do ogromnych oczu, oczów olbrzyma, które na nas patrzyły, nas śledziły, oczekując chciwie naszej zagłady. Jedna z nich przedewszystkiem mnie irytowała. Gasła co trzydzieści sekund i natychmiast rozpalala się nanowo.

Od czasu do czasu Anglik pocierał zapalkę i sprawdzał godzinę, następnie wkładał zegarek z powrotem do swojej kieszeni. Wśród tego nagle odezwał się do mnie ponad głowami swych córek z wielką powagą:

— Życzę panu Nowego Roku.

Była północ. Wyciągnąłem do niego mą rękę, którą uściśnął, zwrócił się następnie i powiedział po angielsku kilka słów do córek, zaraz też on i one rozpoczęły śpiewać *God save the Queen*. Śpiew rozlegał się w czarnej milczącej przestrzeni i niknął.

Miałem najpierw ochotę śmiać się, później jednak porwało mnie potężne, dziwne wzburzenie.

Byłoby tak coś niezwykłego a wspaniałego, ten śpiew tych rozbitków, tych skazańców, coś w rodzaju modlitwy, a zarazem coś tak wielkiego, co można porównać ze starożytnym a wzniosłem: *Ave, Caesar, morituri te salutant!*

Gdy skończyli, poprosiłem moją sąsiadkę, żeby teraz ona sama zaśpiewała jaką balladę, lub jaką opowieść, zresztą co chce, bylebyśmy mogli zapomnieć o naszych obawach. Zgodziła się i zaraz jej jasny i młody głos zabrzmiał wśród nocy. Śpiewała zapewne coś smutnego bo dźwięki ciągnęły się długo, wychodziły powoli z jej ust i trzepotały się jak zranione ptaki, ponad falami.

Morze wzbierało i biło silnie w skorupę okrętu, ja jednak nie myślałem, jak tylko o tym głosie. Mimowoli przyszyły mi na myśl syreny. Coby powiedzieli marynarze, gdyby w tej chwili przepływali na barce blisko nas? Umysł mój zmęczony, począł marzyć. Syrena! Czyż istotnie nie była syreną, ta dziewczyna morza, która zatrzymała mnie na tym robaczywym okręcie, mogącym lada chwila być pochłoniętym przez fale.

Nagle wszyscy pięcioro stoczyliśmy się gwałtownie na pokład. Marie-Joseph przechylił się nagle na prawy bok. Angielka upadła na mnie, ja ją chwyciłem w moje ramiona i szalenie, bezświadomie, nie zdając sobie sprawy co czynię, sądząc że nadeszła ostatnia moja chwila, całowałem jej usta, oczy i włosy. Okręt więcej nie poruszył się, a my również nie ruszaliśmy się wcale.

Anglik zawołał: Kate! Ta którą trzymałem w objęciach, odrzekła *Yes* i zrobiła ruch, ażeby się odemnie uwolnić. Zaprawdę wołałbym w tej chwili iżby okręt rozpadł się na dwoje w otchłań morską, razem z nią i ze mną

Anglik znowu przemówił:

— Eh, to nie było nic, mała huśtawka. Ocalały na szczęście moje córki.

Nie widząc bowiem najstarszej, sądził z początku, że ją stracił.

Powoli podniosłem się i nagle spostrzegłem tuż blisko nas jakieś światło na morzu. Zawołałem, odpowiedziano mi. Była to barka, którą gospodarz hotelu wysłał na nasze poszukiwania przewidując naszą nieroztropność.

Byliśmy ocaleni. Ja jednak byłem zrozpaczony. Zabrano nas i odwieziono do Saint-Martin.

Anglik z radości klaskał w ręce wołając: Urządzimy sobie teraz dobrą kolację!

Istotnie zjedliśmy dobrą kolację. Ja nie byłem wesołym, żalowałem Marie-Joseph!

Nazajutrz po wielu uściskach dłoni i obietnicach pisywania do siebie, trzeba się było rozłączyć. Oni pojechali do Biarritz. Mało brakowało, a byłbym za nimi pojechał. Byłem jak oglupiały, chciałem oświadczyć się o tę małą dziewczynę. Zapewne, gdybyśmy byli jeszcze ośm dni razem spędzili ze sobą, byłbym się z nią ożenił. Jakto często jest się słabym i samemu sobie niepojętym.

Przez dwa lata nic nie słyszałem o nich. Potem otrzymałem list z Nowego Yorku. Donosiła mi, że jest zamężną. I od tego czasu pisujemy do siebie każdego roku na dzień 1-go stycznia. Ona mi opisuje swoje życie, opowiada mi o swoich dzieciach, siostrach, — nigdy o swoim mężu. Dlaczego? Ach, dlaczego?... Ja zaś nie piszę do niej o niczym innym, jak tylko o Marie-Joseph. Jest to może jedyna kobieta, którą kochałem.... nie.... którą byłbym pokochał.... Ach, zresztą czyż można wiedzieć? Wypadki nas porywają... a potem.... potem.... wszystko przechodzi. Musi być już starą, terazbym jej nawet nie poznał. — Ach! ach ta, z tego czasu.... ta z tego rozbitego okrętu... co za istota... boska.... Pisze mi, że włosy jej są już całkiem siwe..... Mój Boże! Przykro mi to bardzo... Jej jasne włosy! — Nie, ta moja już więcej nie istnieje. Ach, jakie to smutne.... to wszystko.....

---

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z **Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur**.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na **Licencji Wolnej Sztuki 1.3**. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w **Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur**. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/opuszczony-okret/>

Tekst opracowany na podstawie: Guy de Maupassant, Wybór pism. Ojciec Amable i inne nowele, tłum. anonimowy, księgarnia i drukarnia związkowa w Chrzanowie, Kraków-Warszawa 1914.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>) na podstawie tekstu dostępnego w serwisie Wikiźródła (<http://pl.wikisource.org>). Redakcję techniczną wykonała Agnieszka Dąbrowska, natomiast korektę utworu ze źródłem wikiskrybowie w ramach projektu Wikiźródła. Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

ISBN 978-83-288-0526-2

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

**Wspieraj Wolne Lektury** i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: **szczegóły na stronie Fundacji**.